

Migawki teatralne.

Oddawszy kilkoma początkowemi sylwetkami, zamieszczonemi w poprzednich numerach, hołd pierwszeństwa starszej siostrzycy... scenie „stołecznego“ miasta Lwowa — przerzucamy nagle soczewkę naszego „Kodaka“ ku ujściu Szpitalnej, w planty krakowskie, gdzie, kierowani przede wszystkim uczuciem serca, chwytamy sobie na płytę kochanego i *comme de raison*, z urzędu swego i obowiązku całe życie kochającego kochanka — Sobiesława.

Sobiesław — *recte* „Sobek“ Bystrzyński, zasłużył w całej pełni na ten kochliwy pleonasmus; niezliczonych bowiem ofiar... pardon!... przedmiotów jego rutynowanej miłości na wołowej nie spisałby skóry, a Kraków, w którym kochał najwięcej i najdłużej, uczcił przed dwoma laty trzydziestolecie tej żmudnej, sercowej pracy wspianym jubileuszem.

Ileż bo ten wyjątkowy atleta miłośny — i jakich wspaniałych nie prze-



trzymał kochanek, choćby tylko na tej scenie krakowskiej! Bednarzewska, Siemaszkowa, Siennicka, Przybyłkówna, Moraska, Kałużyńska — ba! nawet Hofmanowa grywała z nim jeszcze bohaterki amantki... i minęły się one wszystkie — a jubilat amant, choć szronem przyprószyło mu jasne niegdyś włosy — dziś, jak przed laty, ten sam Sobiesław, miły, wytworny, lekki...

Na scenie używa peruki... Niedyskretni powiadają, że dał ją sobie utkać Walczyńskiemu z pukli pamiątkowych, a mianowicie z tej jaśniejszej połowy... Co gorzej, chodzą słuchy między podlotkami, podziwającemi jego powab dziś jeszcze, że ma jakiś eliksir młodości... czy też jakiejś Ukraince odkradzione „lubymene“!... Ale my to uważamy za bajki!...

Szczęśliwe, pogodne usposobienie charakteru, trzyma go młodo, a zapal do sztuki na długie lata zachowa go nam kochankiem kochanym i kochającym, naszym pocziwym, sympatycznym Sobkiem!

Nowościarz.

TAJEMNICZA WILLA

(Z opowiadań włamywacza na tle prawdziwych zdarzeń).

Z angielskiego przełożył

KAZIMIERZ E.

(Ciąg dalszy)

Nie mało więc zdziwiłem się, że tego dnia sam poruszył tę sprawę i byłem pewny, że tajemniczy starzec dał mu w tym kierunku jakieś instrukcje.

— Pan Follen — zaczął mi się dalej zwierzać Franciszek — przyjął mnie do służby w Rzymie. Jest on wprawdzie z rodu Niemiec, ale był profesorem na uniwersytecie w Padwie, bo jest bardzo uczony i słynie jako jeden z najlepszych lekarzy. Co do mnie, to ja jestem Piemontczykiem i służyłem kiedyś w papieskiej gwardii szwajcarskiej, bo w tej gwardii może każdy służyć, kto chce, są tam też i Niemcy i Włosi i Francuzi. Wtedy to poznał mnie pan Follen, który po śmierci żony przybył do Rzymu i porzucił profesurę, bo będąc nader zamożnym nie potrzebował jej wcale. Poznał mnie i skłonił do tego, że rozstałem się z mundurem gwardzysty i przyjąłem u niego służbę.

Franciszek zamyślił się na chwilę, westchnął tak, jakby żałował jeszcze za tym swym szwajcarskim mundurem, ale zobaczywszy ironiczny uśmiech na moich ustach, odezwał się szybko:

— Nie myśl pan, żebym żałował tego kroku! O nie! Do tej chwili nie miałem żadnego powodu żałować tej chwili. Pan Follen był dla mnie zawsze dobrym i łaskawym chlebodawcą, a prócz tego obdarzał mnie i obdarza takim zaufaniem, jakbym był jego najserdeczniejszym przyjacielem, a nie sługą!... Ale mniejsza o to, wolę panu dalej opowiadać, bo widzę, że mnie pan słucha z zainteresowaniem!

— Spodziewam się! — szepnąłem z cicha, coraz bardziej zadziwiony gadatliwością Franciszka w tej tak ciekawej dla mnie kwestyi.

— Otóż — ciągnął dalej mój towarzysz — pani Follen, matki nieszczęśliwej panny Teresy nie znałem wcale, ale za to wiele o niej słyszałem. Miała to być kobieta anielskiej dobroci, ale także bardzo nieszczęśliwa, bo nie znała co to uśmiech, co to radość, lecz zawsze chodziła smutna i wierzyła w istnienie upiórów! O panie! Nie wiem, czy może być coś straszniejszego nad wiarę w upiory. Komu się ona wpije w serce, ten musi marnie skończyć życie, bo myśl o nich wysysie mu wszystką krew z ciała, wyniszczy najżywotniejsze siły i niema na to ratunku. Pani Follen w ten sposób zesłała przecież z tego świata! A trzeba panu wiedzieć, że tę wiarę odziedziczyła po matce córka, panna

Teresa. I jej grozi śmierć taka sama, i ją doktor Follen uratować nie potrafi, chyba gdyby się cud jaki zdarzył!...

— Cóż to jest właściwie ta wiara w upiory?!

— zapytałem ciekawie Franciszka.

— E! — odpowiedział on, wzruszając z lekceważeniem ramionami — pan jesteś Anglikiem i nie masz naturalnie o tem pojęcia, więc choćbym panu Bóg wie, jak długo to tłumaczył, niczego nie będziesz rozumieć!...

Uśmiechnął się na to.

— Racya! Wy Anglicy z upiorami nie jesteście w stosunkach, no i cieszę się z tego, skoro te stosunki istotnie są tak niebezpieczne.

— Tak! ale u nas we Włoszech, w Dalmacyi, w Turcyi, i aż hen w Małej Azji wszyscy prawie wierzą w upiory i nikt nie zaprzecza ich istnienia! Uważa pan z tymi upiorami, to rzecz się ma w następujący sposób. Takimi upiorami stają się niektórzy ludzie, ale dopiero po śmierci, ale swoją drogą można też poznać i za życia takiego człowieka, co to później stanie się upiorem. Nie śmieję się pan! Naturalnie, że człowiek o takich żelaznych nerwach, jak pan, nie potrafi tego odczuć, ale osoby słabsze, zwłaszcza kobiety, zawsze są w stanie odkryć, kto po śmierci zamieni się w upiora. Gdy taki człowiek wejdzie do pokoju, gdy choć słówko przemówi do kobiety, ona zaraz wie z kim ma do czynienia! Tak, tak mój panie!...

Franciszek westchnął głęboko.

— Otóż trzeba panu wiedzieć — zaczął po chwili dalej wywnętrzać się przedemną — że nieboszczka pani Follen wierzyła w to święcie i pan profesor w żaden sposób nie mógł jej tego wytłumaczyć. Żyła więc w ustawicznej obawie, że kiedyś w nocy taki upiór może zakraść się do pokoju i wyssać jej wszystką krew wraz z życiem, a myśl o tak strasznej śmierci, która ją bez przestanku prześladowała, podkopywała jej zdrowie, wycieńczała siły. A kto wie nawet, czy upiór istotnie nie zapuszczał swych zębów w jej ciało, czy nie ssal jej krwi?!... W ten sposób skończyła życie pani Follen, tak samo musi umrzeć i jej córka, choćby nawet pan profesor nie wiem co robił i nie wiem w jaki sposób starał się podtrzymać jej siły, bo ubytek krwi, wytoczonej przez upiora, nie da się niczem zastąpić!...

— Jestem przekonany — odezwałem się na to — że pan Follen, tak samo jak ja, nie wierzy w żadne upiory i dziwię się, że nie zdołał wytłumaczyć swej córce tych dziecinnych zabobonów!...

— O! Pan profesor nie raz chciał w nią wmówić, że upiory nie istnieją wcale na świecie! Nie raz błagał ją ze łzami w oczach, żeby przestała myśleć o tem, ale wszystko na próżno!

— Jakto? więc panna teraz doprawdy jest tak święcie przekonana, że upiór składa jej co noc wizytę i karmi się krwią, która płynie w jej żyłach?...

— Tak panie! ona nietylko wierzy w upiory, ale wie pewnie, że upiór ją prześladowuje każdej nocy, a zresztą... hm... panna Teresa ma nawet powody sądzić, że tak jest, a nie inaczej!...

— Powody? — zapytałem ciekawie — a, czy nie możnaby wiedzieć jakie?!

— Posłuchaj pan tylko! Gdyśmy jeszcze wszyscy mieszkali w Rzymie, panienkę otaczali roje wielbicieli. I nic chyba nie było w tem dziwnego! Młoda, piękna, bogata, szlachetna i łagodna, jak anioł, chociaż liczyła dopiero lat szesnaście, oddziaływała na serca młodzieży i każdy chętnie byłby ją wziął za żonę. Najbardziej zaś nadskakiwał jej niejaki pan Aleksander, który szalenie się w niej zakochał. A był to cudnej urody mężczyzna, ideał wszystkich dam rzymskich. Mimo to jednak, choć pan Aleksander całkiem jasno dawał do poznania, że marzy tylko o tem, aby się połączyć węzłem małżeńskim z panną Teresą, nieboszczka pani Follen krzywym okiem spoglądała na niego. Po jakimś czasie ów pan Aleksander wprost zapytał panienkę, czy kocha go i czy pozwala, żeby prosił rodziców o jej rękę, ale panienka odpowiedziała mu, że jest jeszcze za młoda i żeby z prośbą taką nie zwracał się do jej rodziców. W parę dni potem, gdy panna Teresa opowiadała panu profesorowi o tych wyznaniach pana Aleksandra, matka jej, obecna przy tej rozmowie, zawołała nagle:

— Na miłość boską Tereniu! nie oddawaj swej ręki temu człowiekowi, bo przeczniam, że on po śmierci stanie się upiorem! On nie pożyje długo, a gdy go złożą do grobu, co nocy wyjdzie z trumny i będzie wysysać twą krew, aby podtrzymać swe życie; co noc syty, ze skrwawionemi ustami, będzie wracać do grobu, a ty jak ten kwiat, podcięty kosą, uschniesz niebawem i marnie skończysz wśród cierpień swe życie!...

Ta uwaga zrobiła wielkie wrażenie na pannie Teresie, która podzielała wiarę matki w upiory i pan Aleksander otrzymał od niej wyraźne kosa. Ale dziwnem jakimś zrządzeniem losu dowiedział się pan Aleksander, co było właściwym powodem tej odmowy, jaka go spotkała.

— „Upiorem jestem!“ — zawołał wówczas w szalonym gniewie — „no! kiedy mam być upiorem, to tylko jej krew pić będę, jej, tej pięknej Tereni! Przysięgam na to! przysięgam!“...

A gdy panna Teresa dowiedziała się o tej strasznej przysiędze, straciła swój humor i wesołość, była bowiem przekonana, że pan Aleksander dotrzyma swej przysięgi, że czeka ją straszna śmierć wśród długich, ciężkich cierpień. (C. d. n.)